Nr. 215 — *Poniedziałek 4 Sierpnia 1884.* — **Rok II.**

Prenumerata.
We LWOWIE:
rocznie 14 zł. 40 ct.
kwartalnie 3 zł. 60 ct.
miesięcznie 1 zł. 20 ct.
półmiesięcznie 60 ct.
Za odnoszenie do domu miesięcznie 20 ct.
NA PROWINCJI:
rocznie 19 zł. 20 ct. półrocznie 9 zł. 60 ct. kwartalnie 4 zł. 60 ct. miesięcznie 1 zł. 60 ct. za pół miesiąca 80 ct.
ZA GRANICĄ:
Dopłaca się miesięcznie 1 zł. do cen miejscowych.
Prenumeratę przyjmuje się tylko od 1. i 15. każdego miesiąca.
Numer kosztuje 6 ct.

KURJER LWOWSKI

wychodzi codziennie także w Niedzielę i Święta o godzinie 8. rano.

Biuro Redakcji przy ulicy Kopernika l. 9. (urząd telegraficzny) . Administracja i Ekspedycja przy ulicy Akademickiej l. 3.

Dziś: Dominika. Wtorek: N. P. Marji Śnieżnej. Środa: Przemienie pańskie.	Czwartek: Kajetana. Piątek: Cyrjaka. Sobota: Romana. Niedziela: W. m.	Kalendarz myśliwski: Wolno polować na kozły, i jelenie przepiórki i dzikie gołębie na ptactwo błotne i wodne.	Wschód słońca o 4 g 46 min Zachód słońca o 7 g. 25 min. Barometr: 771 — Pogoda prawdopodobna.

Strzelanie policjantów w Warszawie.

Warszawa 31 lipca. Gdy wczoraj po południu o. 6 godzinie weszło dwóch policjantów na Nowym Świecie do pewnej małej mleczarni, aby tam aresztować trzech młodych, podejrzanych mężczyzn, jeden z nich strzelił kilka razy z rewolweru do policjantów i ranił jednego śmiertelnie. Aresztowano go natychmiast, podczas gdy dwaj jego koledzy uciekli. Dotąd nie wiadomo, kim jest aresztowany, bo odmawia wszelkich objaśnień co do swej osoby. Wczoraj aresztowano znowu wyższego urzędnika sądowego. Donosi o tem *Posener Ztg.*

O tym samym wypadku donoszą *N. Reformie* dnia 1. b. m.

We środę o godzinie pół do szóstej wieczorem ciekawy wydarzył się wypadek. Jeden z agentów policyjnych, przybyłych z Moskwy, a tłumy ich roją się obecnie po Warszawie, miał śledzić rewolucjonistów i działał widocznie na „upatrzonego“. W ogródku na Nowym Świecie, gdzie się mieści dość uczęszczana mleczarnia, agent ten, nazwiskiem Lambert, dojrzał aż trzech młodych ludzi, których postanowił zaaresztować. Nie ufając własnej sile, pospieszył do Nowoświeckiego cyrkułu, żądając pomocy. Ztamtąd z pomocnikiem komisarza i dwoma policjantami udał się na wskazane miejsce. Jak tylko agent z otoczeniem wszedł do ogrodu i został spostrzeżonym przez trzech siedzących dotąd ludzi, ci kilku słowy porozumieli się między sobą, zerwali się z miejsca i kiedy dwaj starali się umknąć, trzeci nie czekając zapytań, zaczął z rewolweru strzelać do agenta. Rozległy się cztery strzały, z nich trzy wymierzone były do agenta, który został silnie raniony w brzuch i lżej w biodro. Czwarty strzał skierowany był do pomocnika komisarza, który szybko nadbiegłszy z boku, ciął strzelającego pałaszem w rękę i wtedy policjanci zdołali go przytrzymać.

W zamięszaniu i panice wywołanej tym wypadkiem, towarzysze strzelającego zdołali umknąć, gdyż nikt ich nie powstrzymywał. Z miejsca wypadku, schwytany rewolucjonista, ciężko raniony pałaszem, wraz z postrzelonym agentem odwiezieni zostali do cyrkułu. Tam spiesznie przybył żandarm pułkownik Siekierzyńskij, stale piastujący misję politycznych aresztowań i z radości ściskał i całował rannego agenta, gniewając się tylko, że jego nie wezwano do aresztowania i wcale nie tając, iż schwytany rewolucjonista jest osobistością nader ważną.

Nazwiska jego, lub zbiegłych towarzyszy, w żaden sposób nie można się dowiedzieć, gdyż trzymane są w największej tajemnicy. (Niepodlega wątpliwości, że są to Rosjanie z partji tak zwanych terorystów, czyli „buntarej“, którzy w regulaminie swoim mają przepis strzelania do aresztujących. Przypisek Red.) Aresztowania nie ustają dotąd. O ile mi wiadomo dwóch tylko jest uwięzionych Polaków, lecz w sprawie, nic wspólnego nie mającej z ostatniemi aresztowaniami

Aresztowany przed kilku dniami mirowy sędzia Dobrowolskij dostał dymisję, lecz za wysoką kaucją wypuszczony na wolność. Toż samo nastąpić miało względem innego sędziego, kniazia Mieszczerskiego, gdyż i ten jest już wolny.

Prokuratorowi, prowadzącemu wyłącznie sprawy przystępców politycznych, wskutek nawału pracy dodano pomocnika w osobie podprokuratora Arseniewa.

W innych dziennikach znajdujemy o powyższem zdarzeniu następujące szczegóły: Z powierzchowności zdaje się aresztowany należeć do klasy rzemieślniczej. Może mieć około 20 lat. Kim jest i do jakiej narodowości należy, przy badaniu nie zeznał. Lamberta, ciężko rannego w brzuch, odstawiono do szpitala św. Rocha, gdzie wkrótce przybył adjutant naczelnika żandarmów warszawskiego okręgu i mimo zakazu lekarzy, koniecznie chciał się zobaczyć z rannym. Zbliżywszy się do rannego (kula uwięzła w brzuchu), adjutant kilkakrotnie pocałował go w czoło, a potem przez chwilę po cichu z nim rozmawiał.

Wizyta oficera żandarmerji każe się domyślać w tym wypadku zamachu politycznej natury.

Zaledwie wieść o wczorajszem zdarzeniu rozeszła się po Warszawie, a oto dziś (31o) już znowu coś podobnego mamy do zanotowania. O wypadku dzisiejszym brak zupełnie szczegółów. Wiadomo tylko, że pomiędzy godziną 9 a 10 rano na ulicy Berga, ktoś strzelał z rewolweru do oficera policyjnego, pomocnika komisarza cyrkułowego z Nowego Światu. Jaki był skutek strzału, czy sprawca aresztowany lub nie, do tej chwili nie jest jeszcze wiadomo.

W tej chwili dochodzi mnie jeszcze jedna w tym samym rodzaju wiadomość. Dziś rano w ogrodzie botanicznym na siedzącego na ławce Izraelitę rzuciło się trzech wyrostków z nożami w ręku i zadało mu kilka pchnięć w plecy. Bliższych szczegółów dotąd nie ma, a i to co napisałem, komunikuję tylko jako pogłoskę, nie ręcząc za prawdziwość.

Wczorejszy wypadek zaniepokoił Warszawę niezmiernie. Szczegóły opowiadają w rozmaity sposób. Utrzymują, że Lambert (którego nazwisko w szpitalu utaić chciano), śledził owych młodzieńców już od bardzo dawna, a dostrzegłszy ich wchodzących do mleczarni, sprowadził z najbliższego cyrkułu oficera i kilku policjantów. Ci ostatni podobno nie weszli do sali. Kiedy oficer z Lambertem stanąwszy przy stole oświadczyli, że aresztują młodych ludzi, wszczęła się sprzeczka, jakiem prawem mogą aresztować kogoś zachowującego zię zupełnie spokojnie. W ciągu rozmowy, podczas której wszyscy trzej stanęli po jednej stronie stołu, jeden z nich wydobył broń i wystrzelił. Wystrzeliwszy schylił się pod stół. Wówczas Lambert usiłował go pochwycić i wtedy właśnie otrzymał dwie rany w brzuch.

Legenda żeglarska.

(Z warszawskiej publikacji „Na Pomoc“)

Był okręt, który zwał się „Purpura“, tak wielki i silny, że się nie bał wichrów, ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętemi żeglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną piersią podwodne haki, na których rozbijały się inne statki — i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek! mówili żeglarze z innych okrętów — rzekłbyś lewiatan fale porze!

A czasem pytali załogę „Purpury“:

— Hej ludzie! dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr żenie! odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie, tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę, wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

„Wesoło płyńmy, wesoło“!

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze“ każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznem świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Niema (mówiono) takich raf, ni takich burz, któreby „Purpurę“ rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — „Purpura“ popłynie dalej.

I „Purpura“ płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe — a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwieli w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. „Purpura“ sama popłynie — mówili. — Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? po co żyć w trudzie, pocie czoła, gdy statek jak bóstwo — nieśmiertelny?

„Wesoło płyńmy, wesoło“!

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł się psować. Słona woda przeżarła belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, — maszty popruchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako, głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się — mówili niektórzy majtkowie.

— Nic to! płyniemy z falą! — odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem, pewnego razu, wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmięszały Ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę“ straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku, wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwaliły znów na dno. Pękły zwątlałe wiązania statku i nagle krzyk staszny rozległ się na pokładzie.

— „Purpura“ tonie!

I „Purpura“ tonęła naprawdę, a załoga odwykła od trudów i żeglugi nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem chwyciwszy, co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę.“

Wspaniała była walka tej rozpaczy ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od

glarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą— ale walczyła jeszcze. Zalani, nawpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku, znów zrywali się do walki.

Nakoniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastała chwila głuchej rozpaczy. I poglądali na się ci żeglarze, jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie podniosły się znowu, silniejsze, tak że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać. Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. „Purpura“ jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa, drgnęli ci nawpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić. *Henryk Sienkiewicz.*

KRONIKA.

Bolesna rocznica przypada jutro dla Polski. Dwadzieścia lat temu męczeńską śmiercią na stokach cytadeli warszawskiej zginęli członkowie rządu narodowego: Traugut Romuald, Żuliński Roman, Jeziorański Jan, Krajewski Rafał i Toczyski Józef, ostatni z tego grona bohaterów, co onego czasu wytrwali na stanowisku w stolicy, ale nieostatni z pocztu mężów, przyświecających narodowi życiem i poświęceniem. Jutro też o godz. ½ 9 zrana odbędzie się w kościele archikatedralnym we Lwowie nabożeństwo żałobne.

Fotografij tych patrjotów można dostać w han. A. Bogdanowicza przy placu Marjackim.

Przez niedbalstwo. Jeden z mieszkańców ulicy Stryjskiej donosi nam, że przechodząc onegdaj obok budującej się kamienicy pod l. 21, o mało niezostał w głowę ugodzony 5 metrową belką, która spadając z dachu tej kamienicy, załamała pokład deskowy rusztowania i z łoskotem spadła sztorcem na ziemię tuż przed nim, uszkodziwszy mu tylko na szczęście parasol. Gdyby — powiada on — kąsek taki był się oparł na mej głowie, byłbym ani drgnął. — Wina cała za ten wypadek, spada zdaniem poszkodowanego, na kierującego budową, który niezarządził zagrodzenia chodnika, wzbraniającego przejście pod rusztowaniem niekrytem.

Jeden z robotników magistrackich, cierpiąc onegdaj wodę do beczki dla polewania ulic, w studni przy ulicy Jagiellońskiej, dopuścił się karygodnej nieprzyzwoitości. Dla lepszej wygody w czerpaniu wody, obnażył się aż do pasa i w tym kostjumie kręcił się kilka chwil koło studni. ku wielkiemu zgorszeniu przechodniów. Na domiar, wlazł do studni. Wezwany policjant, aby położył tamę tej nieprzyzwoitości, „obiecał przyjść“ — niezjawił się jednak.

Ks. biskup Sylwester Sembratowicz powrócił d. 1. b. m. z Krynicy do Lwowa.

Zapowiedzi. W kościele Archikatedralnym we Lwowie p. hr. Stanisław Augustyn Poniński, komisarz c. k. namiestnictwa, urodzony w Rokitnicy z panną hr. Marją Leonią Teklą Józefą Antoniną Drohojowską zamieszkałą w Wiednin, urodzoną w Zaleszczykach.

W kościele OO. Bernardynów p. Mieczysław Juljan Paszkudzki ze Lwowa z panną Anielą Siemiaszko, urodzoną w Gierniku na Litwie, a zamieszkałą we Lwowie. Pan Juljan Kieras mechanik, urodzony w Krakowie, z panną Anną Horak ze Lwowa. Pan Antoni Zaremba, dyspozytor handlu z panną Serafiną Marcichowską. Pan Jan Ferdynand Teliczek ze Lwowa, z panną Benoną Agrypiną Buczek z Brzeżan.

Ks. Izydora Pasieczyńskiego, gk. proboszcza z Zadzielska w Stryjskiem, jadącego dnia 29. lipca konno ze Smorza do Krzywego, pod wieczór w lesie napadło 10 drabów zbrojnych w koły i pistolety i usiłowało go obrabować, ale się obronił żwawo rewolwerem.

Komitet Towarzystwa opieki weteranów z roku 1831 w Krakowie przesyła nam spis składek i sprawozdanie z miesiąca lipca r. b.: Subwencja Wydziału krajowego z drugiego półrocza 1884 roku 500 złr.; Towarzystwo kasynowe w Dolinie z loterji urządzonej za pośrednictwem prezesa Rady powiatowej tamże p. Mazarakiego 93 złr. 41 ct.; p. Helena z Dąbskich Ludwikowa Jędrzejowiczowa rocznie 10 złr.; p. Ignacy Teliga rocznie 5 złr. Za pośrednictwem delegata, notarjusza w Grybowie, p. Klemensiewicza po 5 złr. rocznie: pp. Ferdynand Hosch i Edmund Klemensiewicz; po 2 złr. rocznie: Karol Tulszycki i ks. Franciszek Jaworski. Za pośrednictwem delegata bar. Czecza, wł. dóbr; po 5 złr. rocznie: pp. Herman Czecz i Stanisław Klucki; po 2 złr. rocznie: Alojzy Maeyer, p. Ludmir Bażan 2 złr.; p. Zieliński z Tarnowa miesięcznie 50 ct.; hr. W. Z. 10 złr.; N. N. 1 złr. Na rachunek sprzedaży poematu Mikołaja Bołoz Antoniewicza „Hasło i Odezw“, prezes Koła art. liter. J. Kossak 50 złr. Ogółem było dochodu w lipcu 697 złr. 91 ct. Rozchodu: między weteranów rozdano 463 złr., obsługa w biurze, marki pocztowe, wydatki kancelaryjne 8 złr. 85 ct.

Najuprzejmiej uprasza Komitet Towarzystwa opieki nad weteranami wojsk polskich o łaskawe uiszczenie składek, rocznie przyobiecanych przez szanownych członków za rok 1883 zaległych i za rok bieżący, i aby pomnieli na cel chrześcijański a tak patrjotyczny i na szczupłe fundusze Towarzystwa wobec tylu nieszczęśliwych starców, dawnych obrońców Ojczyzny naszej!

Również ma zaszczyt donieść Komitet Tow. O. n. W. 1831. Szanownej Publiczności, że loterja fantowa odbędzie się w pierwszej połowie września b. r. w Sukiennicach w Krakowie, którą poprzedzi Wystawa fantów łaskawie ofiarowanych. Uprasza się powtórnie wszystkich, którzy otrzymali losy na tę loterję, aby raczyli należytość za nie, nadesłać łaskawie przed 1 września b. r., albowiem nie nadesłane losy do d. 1 września br. będą uważane za sprzedane i Komitet będzie zmuszony upominać się o należytość za nie. *Ksawery Kouopka*, wiceprezes.

Ignacy Domeyko opuścił dnia 1go b. m. rannym pociągiem warszawskim Kraków, żegnany na dworcu przez grono znajomych. Z Warszawy udaje się p. Domeyko na stały pobyt do córki zamężnej na Litwie.

Dr. Szumowski z Warszawy bawi w Krakowie w przejeździe na kongres antropologiczny do Wrocławia.

Ks. Tomasz Bratranek, Dr. filozofji i były profesor języka i literatury niemieckiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, złożony jest w Bernie ciężką chorobą w skutek ataku apoplektycznego.

Znakomity pianista Ernest Lewenberg, Polak, profesor konserwatorjum wiedeńskiego, zmarł we Wiedniu dnia 31go z. m. w 28 roku życia na porażenie płuc.

Przed dwoma laty koncertował zmarły z wielkiem powodzeniem w Warszawie, gdzie jego stryj jest konsulem hiszpańskim.

Lewenberg był uczniem Rubinsteina i Epsteina.

W ostatnich latach urządzał z wielkim sukcesem szereg koncertów w Niemczech, Francji, Anglji i Rosji.

Zeszłego roku przeziębił się na koncercie w Petersburgu i chorował od tego czasu. Wyjechał wprawdzie później na kurację do Nicei i San Remo, zdawało się — że stan jego zdrowia się polepszył — lecz po powrocie do Wiednia śmierć zaskoczyła go nagle.

Rozpacz rodziny tem większa — ile że nad grobem zacnego człowieka i znakomitego artysty płacze młoda narzeczona panna Róża Rosengarten.

Wczoraj w niedzielę odbył się we Wiedniu pogrzeb Lewenberga przy licznym udziale publiczności. Cześć Jego pamięci!

Ze Szczawnicy donoszą nam, że koncert primadonny warszawskiej panny Heleny Herman, urządzony tam 1. b. m. udał się znakomicie. Sala była przepełnioną, znakomita śpiewaczka oczarowała wszystkich, wywoływano ją kilkanaście razy i obrzucono kwiatami. Na nalegania licznych wielbicieli nrządzi panna Herman — wracając do Warszawy koncert w Krakowie.

Przyjazd Czechów do Krakowa Praski *Pokrok* donosi, że w celu wyjazdu do Krakowa i Wieliczki do 29. czerwca zgłosiło się w Kolinie 680 uczestników, w Pradze 90. Dalsi zgłaszający się uczestnicy, będą mogli widzieć Wieliczkę następnego dnia t. j. w poniedziałek 18. sierpnia. W sprawie mieszkań i wspólnych obiadów czynią się starania, dla których załatwienia bawi w Krakowie p. A. Tumlirz. W Ołomuńcu postanowiono uroczyście powitać przejeżdżających uczestników wycieczki. U zarządów dróg żelaznych czynią się starania w celu przedłużenia ważności biletów kolejowych do dnia 5. września.

Numizmat. W fabryce tytoniu w Krakowie znaleziony został przy kopaniu, dobrze zachowany dukat Jagiellończyka Ludwika II., króla Węgier i Czech, (który poległ pod Mohaczem), bity 1517 r. dla Szląska (według herbu).

Zdrowie Kraszewskiego. *W Kłosach* znajdujemy list, w którym Kraszewski sam opisuje stan swojego zdrowia w następujący sposób: „Stan mojego zdrowia zawsze jest bardzo smutny, lecz mam lekarza, który tu mię nawiedza i co tylko może, to robi... Siedmdziesiąt trzy lat, a w nich rok cały tych udręczeń i choroba, lub właściwie mówiąc — choroby... trudno się czuć lepiej w takich okolicznościach. Jestem tak osłabiony, że nie mogę się zabrać do pracy regularnej; od pięćdziesięciu lat pierwszy to raz mi się przytrafia! Dawniej nawet chorując, byłem zdolny do pracy; dziś próbuję to tego, to owego, ale nic mi nie idzie. Jakaś niemoc ogólna i pewien rodzaj otrętwienia. Zaledwie mogę czytać i to niezawsze.

Dalej Kraszewski opowiada przebieg swojego dnia... Wolno mu więc używać przechadzki, ale tylko w małej alei w obrębie fortecy: z przechadzki tej zrana zwykle niekorzysta, tylko po południu podczas pogody.

„Innym, skarży się, pozwalają niekiedy udawać się na spacery do miasta, mnie — nie, a tu bardzo mało mam przestrzeni... Nogi obrzękłe długo siedzieć mi przeszkadzają, więc się kładę między godziną 7 a 8 i czytuję zwykle do 11-ej; o 11-ej muszę już gasić światło, lecz opium nie zażywszy, zasnąć nie mogę... Przy mojem nawyknieniu do samotności i lektury, byłoby to jeszcze znośne, gdyby więcej przestrzeni do przechadzki, gdyby nie myśli i marzenia dręczące i gdyby nie te noce okropne, w których, jeżeli się śpi, to jedynie dzięki morfinie...“

(Dr. A. S.) **Gołogóry** 2. sierpnia. Okolicę i miasteczko tutejsze nawiedziła 31. z m. niesłychana ulewa, trwająca bez przerwy noc całą, wyrządziła ogromne szkody, pozrywała mosty i groble, uszkodziła młyny, a prócz tego narobiła mnóstwo ogromnych szkód w polu. Starsi wiekiem nie pamiętają tak mokrego roku, jak teraźniejszy; następstwa będą bardzo przykre — zboże, a w szczególności kartofle gniją. A mimo tego ludek nasz nie skory do pracy i dopiero zmuszony ostatecznością wyrusza, w skutek czego zbiór się opóźnia, lecz trzeba go mieć za wytłómaczonego, zważywszy na systematyczne obałamucanie (vide pielgrzymki chłopskie do „obrazu Matki Boskiej“ w studni w Lackiem, ustawienie krzyża schizmatyckiego ze skarbonką i okólnik starostwa w Złoczowie tą aferą wywołany).

Z okólnika tego najlepiej widać, że to wprost oszustwo, tem gorsze, iż źle działa na ciemny i do guseł skłonny ludek. Sądziłem, że wydawszy podobny okólnik, starostwo poleci zakazywanie zbierania pieniędzy, a w ogóle troskliwe czuwanie podwładnym organom; nie myślę, by dziś gdzie jeszcze rozgorączkowano bałamutną wieścią umysły wieśniaków, było rzeczą stosowną kazać zdejmować krzyż — lecz mamy prawo żądać, by była pewna kontrola nad składanym groszem.

Wobec ciągle się szerzącej demoralizacji w miasteczku i okolicy, ciągłych bijatyk i kradzieży, okazuje się niezbędnem utworzenie w Gołogórach posterunku żandarmerji, tembardziej, że wskutek zwinięcia posterunku w Olszanicy zamierzonego z powodu otwarcia sądu kolegjalnego w Brzeżanach, w promieniu kilkumilowym posterunku nie będzie O to stanowczo się upominamy i sądzimy, że ck. Starostwo w Złoczowie w własnym interesie do żądania mieszkańców Gołogór się przychyli. Przytem nie możemy pominąć prośby do Wydziału rady powiatowej i Starostwa złoczowskiego o poprawę dróg do Gołogór wiodących, po których formalnie z narażeniem zdrowia i życia przejeżdżać potrzeba.

Ruch kąpielowy. Do dnia 24 zm. bawiło gości kąpielowych w Krynicy 1860, w Rożnowie 1070, w Gainfarn 844, w Cieplicach czeskich 5238, w Szczawnicy 1921.

Wynalazek. Galwanoplasta Kowako w Petersburgu pracuje obecnie nad udoskonaleniem wynalezionej przez siebie wędki elektrycznej... Na końcu jej znajduje się drobna lampka elektryczna, pozwalająca widzieć nadpływającą rybę i przyciągająca ją światłem w granice działania aparatu.

„La garde meurt, mais elle ne se rend pas“ — zawołać miał pod Waterloo dowódca napoleońskiej gwardji Cambronne. Jakiś dowcipniś uttrzymywał następnie, że Cambronne zamiast tego, zakląć miał tylko po żołniersku słówkkiem „merte!“ Obecnie w wydanym właśnie dalszym tomie pamiętników hrabiego de Viel-Castel, czytamy opowiadanie siostrzeńca Cambronna p. Mellinet, z którego wynika, że Cambronne ani jednego, ani drugiego nie powiedział, lecz po prostu zawołał „naprzód grenadjerzy“.

Niebezpieczną jazdę kolejową odbył temi dniami pewien budnik z Barmen. Już po zamknięciu rogatki, spostrzegł on na torze jakiegoś człowieka, a to w chwili kiedy pociąg był tylko kilkadziesiąt kroków oddalony. Chcąc go ratować wskoczył na tor odepchnął nieznajomego, lecz w tej chwili lokomotywa już go dosięgła. Przytomny budnik w okamgnieniu wskoczył na boczną ścianę lokomotywy i trzymając się obuiącz dojechał bez szwanku do stacji.

Dramat miłośny. Przed kilkoma laty umarł we Wiedniu urzędnik M., pozostawiając wdowę i dwie córki. Starszą z córek oddała matka do pensjonatu, ażeby wykształcić ją na guwernantkę. Piękna młoda dziewczyna zaprzyjaźniła się tam z córką pewnego urzędnika ministerjalnego R. i to tak dalece, że całe dnie przepędzała u swej przyjaciółki, a często nawet u niej nocowała. Cała rodzina lubiała ją serdecznie i prawie bez niej żyć nie mogła. 26-letni syn pana R. zakochał się w przyjaciółce swej siostry na zabój, zanim jednak zebrał się na oświadczyny — uprzedził go własny ojciec. Mimo swoich 56 lat, potrafił p. R. tak usidłać młode i ufające dziewczę, że wkrótce oddało mu się na łaskę i niełaskę. Ten nienaturalny stosunek trwał tak długo, aż młoda guwernantka nie wyjechała do pewnego arystokratycznego domu do Lwowa. Po roku, tęsknota podsycana czułemi listami starego adonisa, sprowadziła ją napowrót do Wiednia i stosunek rozpoczął się na nowo. Dnia 23go b. m. wyszła panna M. za interesem z domu i mimo najstaraniejszych poszukiwań ze strony rodziny nie można jej było więcej odnaleźć. Równocześnie znikł też ministerjalny urzędnik R. Dopiero po 5 dniach wyjaśniła się tajemnica w sposób okropny. Mianowicie stary kochanek, widząc, że stosunek jego z panną M. nie pozostał bez skutku, namówił egzaltowaną dziewczynę do wspólnej śmierci. W istocie wywiózł ją do miasteczka Dresdorf koło Korneuburga i zażądawszy w hotelu pokoju, zamknął się z nią na klucz. Następnie przyrządził jej roztwór fosforu, a dla siebie przygotował rewolwer. Zaledwie nieszczęśliwa dziewczyna, wypiwszy truciznę, straciła przytomność, podły zwodziciel cisnął rewolwer na łóżko, a sam co prędzej uciekł. Nad ranem służba hotelowa, słysząc jęki, weszła do pokoju i zastała biedną ofiarę leżącą w okropnych cierpieniach. Na drugi dzień przyjechała na telegraficzne wezwanie jej matka i jest nadzieja, że nieszczęśliwa przy starannem pielęgnowaniu utrzyma się przy życiu. Zbrodniarz, który mając lat 56 i liczną rodzinę, uwiódł niewinne dziewczę — najspokojniej powrócił do domu.

Teatr, literatura i sztuka.

Wieczorek Fiszera. W sobotę p. Gustaw Fiszer, artysta teatru polskiego, w sali kasyna miejskiego, całkiem zapełnionej doborową publicznością, po wstępnem oznajmieniu, iż wskutek zakładu wieczorek ten urządza, przedstawił po kolei najpierw typ „Goga“, co powróciwszy do domu zastaje rachunek od Müllera i krawca, żali się na „pech“ wskutek awantury wypicia trzech szklanek wody po odprowadzeniu żony jakiegoś wielkiego mężczyzny do domu, i awantury ze swoim „starym“, który z tingl-tanglu wyprowadził go za czuprynę ufryzowaną u Jabla, skutkiem czego udaje się na naradę przed pojedynkiem, który ma się odbyć między nim a ojcem! Następnie przedstawił p. F. typ starszego pana, co gospodaruje od samego rana, krzycząc bez ustanku na Wicka; potem kelnera kąpielowego, który robi dobre interesa na cygarach, sprzedając trzycentowe portorico jako zagraniczne gościom z Kongresówki za 72 centów; majstra Dratewki zastanawiającego się panie Mosterdziu nad wychodzonemi bucika, i wnioskującego o charakterach ich właścicieli. Na żądanie przedstawił dalej wesołego i podspiewującego Lajbusia, wracającego z łaźni, i opowiadającającego, jak co piątku Wojciechowi daje grajcar na piwo, aby tylko „lał na piec“; potem Wagabundę żebrzącego niby nie o pieniądze ale o radę, ażeby mógł dojść do celu, a oburzającego się, gdy mu udzielono jałmużnę z czworaka. Nakoniec zaprodukował babcię Perlmutter, chwalącą się swojemi wnuczętami, i żalącą się na mamkę, która za dany grajcar na pierniczka, sama go zjadła, na co poszlaka niewątpliwa, że dziecko nie było około gęby zapiernikowane. *F. B.*

Marcelina Sembrich, według *Berl. Börs. Cour.*, nie udaje się w roku przyszłym za Ocean. Spiewać ona ma w listopadzie równocześnie z „przyjaciółką“ Adeliną Patti w Paryżu, poczem podąży do Madrytu i Lizbony. Na październik otrzymała diva świetne zaproszenie z Wiednia i Berlina. — Niejaki Geber, impresarjo berliński, ofiarowuje jej sumę 8000 marek za dwa koncerta, jednak diva i „obcym“ dziś niechętnie śpiewa...

Wystawa sztuk pięknych urządzona staraniem tutejszego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, otwarta codzień od godziny 9 zrana do 7 wieczorem w auli ck. szkoły politechnicznej, ulica Leona Sapiehy. Wstęp w dnie powszednie 20 ct. od osoby, a 10 ct, od dzieci, w niedzielę zaś i święta 10 ct. bez różnicy wieku.

Wiadomości polityczne.

Kraków 3 lipca. Przyjeżdżające z Warszawy osoby opowiadają, że aresztowania trwają dalej. Policja i żandarmerja chwyta podejrzanych nawet na ulicy. Nad miastem rozciągnięto kontrolę policyjną, ludność jest zgnębiona bo stosunki te potrwają aż do przyjazdu cara.

Warszawa 1 sierpnia. Minister komunikacyj, admirał Possiet, przybył w d. 1 bm. do Warszawy.

Paryż 2 sierpnia. Na onegdajszem posiedzeniu izby przy czytaniu sprawozdania komisji rewizyjnej rzekł Cassagnac: To śmieszne! na co referent Dreyfus odparł: Gardzę pańskiemi uwagami. Cassagnac: Za to odpowiesz mi pan gdzie indziej. Dreyfus: Jestem na rozkazy. — Prezydent załagodził rzecz po posiedzeniu i do pojedynku nie przyjdzie.

Berlin 3 lipca. Porta zgodziła się na rokowania dyplomatyczne w sprawie urzędów pocztowych, i z tego też powodu nic ma na razie mowy o zamknięciu obcych urzędów.

Berlin 3 sierpnia. Dzienniki doniosły w tych dniach o odbyciu tajnego zebrania socjalistów w Chemnitz i aresztowaniu na niem posła Liebknechta. Tymczasem wedle objaśnienia, przesłanego przez pana Liebknechta do „Volks Ztg.“ tak się wcale rzeczy nie miały. Liebknecht pisze, że się zebrano jedynie na prywatną rozmowę w jednej z największych restauracji w Chemnitz, i to przy drzwiach otwartych i w obecności kelnerów. Samego zaś zawezwano na pośrednika do załatwienia pewnego osobistego sporu. Gdy jednakże ukazała się policja w pomienionym lokalu, kilku obecnych było tak nierozsądnych, że natychmiast się wynieśli. „Mieli oni wszakże pod pewnym względem rację — pisze w końcu pan Liebknecht — bo ci, co nie wyszli z lokalu, narażeni byli na różne nieprzyjemności ze strony policji, która aresztowała nawet dwie osoby i mnie także. Naturalnie, że na interwencję prokuratorji puszczeni zostaliśmy natychmiast na wolność. Piszę to dla charakterystyki stosunków w Niemczech w roku pańskim“.

Na wszelkie interpelacje prasy w sprawie wydalania poddanych rosyjskich ze stolicy pruskiej, policja dotychczas milczy, a działanie swe kontynuuje. Z wydalań tych trudno domyślić się nawet pewnego systematycznego, z góry określonego planu, jak to was najlepiej przekonają nowe zebrane fakta.

I tak: pewien krawiec od dwóch lat tutaj zamieszkały, odwieziony został tak zwaną „zieloną karocą“ do policji, gdzie otrzymał 14-dniową kartę pobytu. Podobnież inny robotnik, zamieszkały tutaj od lat 15-tu.

Obaj po upływie 14 dni mają opuścić Berlin pod karą 100 marek, lub 20 dni aresztu.

Pewien od ośmiu lat tutaj zamieszkały kupiec, posiadający jak najlepsze świadectwa, o godzinie 6tej rano został zmuszony wprost z łóżka udać się zieloną karocą — pomimo że chciał nająć dorożkę — do policji, i otrzymał nakaz opuszczenia miasta w ciągu 14 dni.

Przyczyn we wszystkich tych wypadkach nie podano żadnych, ani też ich nawet domyślić się niepodobna.

Jeszcze więcej rażące wydalenie. Pewien przemysłowiec, od 13 lat mieszka w Berlinie. Przybył nie z Rosji, ale z Ameryki gdzie przez lat 20 przebywał. Ale urodził się w Rosji i dla tego kazano mu wyjechać w przeciągu 14 dni.

Jednemu ślusarzowi dozwolono pobytu jeszcze przez sześć miesięcy. Biedak ten przybył niedawno, ma dopiero świeży paszport, szukał pracy. Po ciężkich trudach znalazł takową, majster zadowolony, że dostał dobrego, cichego i pilnego pracownika. I teraz musi opuszczać miejsce.

Pewien przemysłowiec przebywa tutaj od lat 20. Od lat 12-tu ożeniony z niemką, rodem z Berlina, ma kilkoro dzieci z tego małżeństwa. Kazano mu po roku najdalej opuścić stolicę z wyraźnym dodatkiem, że z żoną i dziećmi.

W innym wypadku zrobiono różnicę pomiędzy ojcem i dziećmi. Pewnemu ajentowi fabryki warszawskiej kazano wyjechać w przeciągu 14 dni, dwom synom zaś od 10 do 12 lat wieku dano na rok kartę pobytu.

Z dwóch młodzieńców zamieszkałych razem, jednemu kazano wyjechać, drugiego, którego nazwisko zaczyna się od wcześniejszej litery alfabetu, pozostawiono w spokoju. Nie może tu zachodzić przyczyna polityczna, bo otrzymał pozwolenie na pobyt półroczny.

Podobny wypadek zdarzył się dwom braciom, jednego wydalają, drugiego pozostawiają.

Nawet biedne robotnice, co do których nie zachodzi żadna przyczyna ze względu na niemoralne zachowanie się, policja skazuje na wydalenie.

Nie można także przyjąć za wiarogodną wiadomości podanej przez „Gazetę Krzyżową“, że środki te przedsięwzięto przeciw żydom tylko rosyjskim, gdyż dopiero co spotkało to samo dwóch studentów tutejszej politechniki i jednego chemika, którzy są katolikami, a nawet jeden z nich podobno należy do kościoła wschodniego. Wszyscy zaś posiadają legalne paszporta i żadne podejrzenie polityczne na nich nie ciąży.

Telegramy „Kurjera Lwowskiego“

(J) **Wiedeń** 3. sierpnia. Dzisiejszy *Tagblatt* podaje korespondencję z Warszawy, i donosi w niej: Jen. Possiet (minister komunikacyj) zaraz po przyjeździe swoim tutaj udał się na rewizję kolei żelaznych w Królestwie, otoczony sztabem kilku inżynierów wojskowych, i oficerów żandarmerji. Poprzednio już koleje te oglądał jen. major Żurow, i szef żandarmerji Brock, jeżdżąc aż do graniey galicyjskiej. Podczas rozdawania zapomóg włościanom, wójci byli ustnie wzywani, aby donosili bezzwłocznie o jawieniu się osób obcych po wsiach. W Warszawie robią gorączkowe przygotowania do przyjazdu cara. W związku z tem zostaje nagła dymisja wiceoberpolicmajstra Własowskiego, powołanie kamerjunkra dworu carskiego Radziwiłła i wysłanie jen. Borowkowa z raportami do Peterhofu.

Słychać, że car przyjedzie tutaj w towarzystwie katolickiego arcybiskupa Gintowta z Petersburga, aby się dać koronować na króla polskiego (w kraju przywiślanskim!?). W rzeczy samej wszyscy biskupi katoliccy w Królestwie otrzymali poufną wskazówkę, aby byli gotowi przybyć do Warszawy.

Wiedeń, 3 siepnia. Adjunkt sądu powiatowego w Rozwadowie p. Marcin Paczowski został mianowany substytutem prokuratora w Nowym-Sączu.

Dyspozycja obiadowa

na wtorek 5. sierpnia.

Obiad droższy. Zupa „julienne“. Paszteciki z muzgu. Zrazy „a la Nelson“. Tort „a la Sacher“.

Obiad tańszy. Zupa malinowa. Kotlety cielęce z marchewką. Pierogi z czereśniami.

Fejleton Nr. 11.

MARGRABINA.

POWIEŚĆ

przez Alberta Delpit.

(Ciąg dalszy.)

XII.

Zbliżyła się do męża z tak lodowatym spokojem, jakby nie była wplątaną w dramat, mogący się krwawo zakończyć.

— Chcesz pan powiedzieć, iż Maksymiljan bywał u mnie codziennie podczas twojej nieobecności? Tak jest, bywał i bywać będzie nadal tak często, jak mu się podoba. Nikt w świecie nie ma prawa zakazać czegoś mnie, lub jemu.

Wyzywała go i to wobec Maksymiljana! Fabian przygotował się wprawdzie na scenę gwałtowną z Dianą, nie spodziewał się jednak, że mu stawi czoło tak mężnie, tak otwarcie, wobec ukochanego. Oceniał ją jako nadto trwożliwą, aby zdobyć się na czyn tak zuchwały. Myślał, iż zmięsza się, jak jego dawne metresy, które drżały wybladłe, wiele razy zeszedł jej mąż znienacka.— Osłupiał, widząc tak wielką odwagę. Wysiłkiem nadludzkim powstrzymał się jeszcze i odezwał z uśmiechem szyderskim:

— Źle pani robisz, nie dopuszczając pana Danglars do dania mi odpowiedzi. Ręczę, że ja i on porozumielibyśmy się w kilku słowach.

— Jestem każdej chwili na pańskie rozkazy, wtrącił Maks żywo, chcąc usunąć Dianę i uwolnić od kłótni, która musiała skończyć się wyzwaniem.

— Zostań! — zawołała Diana energicznie, widząc że ku drzwiom zmierza. I dodała z dumą:

— Mógłby kto myśleć na prawdę, żeśmy w czem zawinili.

Gniew dławił margrabiego... Krew falą gorącą do głowy uderzyła; nie myślał się dłużej zatrzymywać i rzucił w twarz brutalnie Maksowi:

— Jesteś kochankiem mojej żony! chcę pana zabić... i zabiję!

— Na to słowo tylko czekałam! — wykrzyknęła Diana. — Pan Danglars nie jest moim kochankiem. Nie myśl pan przynajmniej, że chcę się przed nim bronić. Kocham Maksymiljana i on mnie kocha. A że nie zostałam jego metresą, to przez wzgląd na mnie samą, bo chcę zostać nieskalaną, ale pewno nie przez wzgląd na pana, którym pogardzam!

Margrabia ryknął jak dziki zwierz zraniony. Podniósł pięść zaciśniętą z giestem tak strasznym, że Maks rzucił się na ratunek Dianie.

— Śmiesz pan grozić kobiecie!... rzekł sucho — Jesteś podły!

— Ah! przecie! Doprowadziłem pana do obelgi. Teraz musisz się bić!

— Nie odmówiłem nigdy i nikomu honorowej satysfakcji... powtarzam: iż jestem każdej chwili gotów na pańskie wezwanie.

Diana porwała Maksa za obie ręce z namiętnem uniesieniem.

— Ty chcesz się bić z nim?! Zakazuję ci, rozumiesz?! Taki człowiek jak ty nie może z nim skrzyżować szpady swojej! Nie wart tego! Posłuchaj tylko! On jeden na świecie nie miał prawa kochać mnie, a śmiał mi wyznać miłość. On jeden nie miał prawa mnie zaślubić, a śmiał pożądać mojej ręki. Cóż miałam robić? Biedne dziecię przez nikogo nie kochane, którego nikt nie bronił, czyż wiedziałam o czem, czyż mogłam się czego domyślić? Skorzystałam, aby uciec z domu, gdziem czuła li niechęć i nienawiść niezasłużoną w koło siebie. I nikt mnie nie przestrzegł. Opuszczono mnie, sprzedano, rzucono na pastwę temu nikczemnikowi! Dziś jeszcze wstydem płonie mi czoło, bierze mnie obrzydzenie straszliwe, gdy myślę o tem wszystkiem. Wstyd mi nazwiska, które noszę, wstyd mi każdego dotknięcia, którem mnie ten człowiek skalał i zbezcześcił.

Była tak olśniewająco piękna w tym wybuchu mściwego oburzenia, iż margrabia cofnął się o krok przerażony i pokonany słowami, któremi go spiorunowała. Była w tej chwili ucieleśnioną pogardą, wzrokiem, słowem każdem zdawała się policzkować nędznika. Stała z głową dumnie podniesioną, blada jak ściana, z okiem rozpłomienionem. Po chwili znowu zaczęła:

— Koniec końców... nie znałam przeszłości... zostałam jego żoną.... Nie kochając go, mogłam jednak żyć spokojną i szanowaną. Widzisz, gdyby ten człowiek nie był takim zbrodniarzem, mogłam cię była ukochać poznawszy... ale pewno nie byłbyś się o tem dowiedział. Nie pozwolił, abym miała to przynajmniej, co posiada i najnędzniejsza z kobiet: ognisko domowe, kółko rodzinne, w którem znajduje spokój, jeżeli nie szczęście, nie ów raj miłości w snach dziewiczych wymarzony... On mnie znieważył w uczuciu najświętszem i najtajniejszem. Tak mnie poniżył i taką okrył hańbą, iż o mało nie umarłam z rozpaczy. Zastałam go... Ah!...

Diana w tył się zatoczyła, chwytając oburącz za serce. Następnie zsunęła się na kolana i ręce kurczowo załamała, jakby błagała Boga o przebaczenie, że o mało usta jej nie wymówiły oskarżenia straszliwego. Maks jednak wszystko zrozumiał. Niby w śnie magnetycznym ujrzał życie całe tej męczennicy. W tej jednej chwili przecierpiał z nią razem wszystkie jej bole i uczuł chęć niewstrzymaną pomścić się na haniebnym oprawcy za męki zadane tej istocie najczystszej i najniewinniejszej. Rzucił się ku margrabiemu, aby go na prawdę wypoliczkować, gdy jakaś dłoń żelazna chwyciła go za rękę i przytrzymała. Był to pan de Morère, po którego Gemma pędem poleciała.

— To moja sprawa Maksymiljanie — rzekł zimno i stanowczo. — Ja jeden mam prawo ukarać tego łotra.

Margrabia cofał się ku drzwiom skamieniały. Jeszcze tylko pana de Morère tutaj brakowało! Ten wpatrywał się w zbrodniarza okiem strasznem, nieruchomem, a tylko lekkie drżenie rąk i ust zbielałych zdradzało burzę wewnętrzną. Margrabina podniosła się z klęczek, ojczyma ujrzawszy.

Zbliżył się do niej i w czoło z czułością ojca ucałował. Następnie przemówił do margrabiego z niezrównaną dumą i powagą:

— Bądź jak bądź, przyjąłem ją za córkę. Kto ją obraża, mnie obraża, kto ją hańbi, mnie hańbi. Nie zabiję cię łotrze... za to, coś względem mnie przewinił. Jam wyszedł z gry... moje cierpienia nie mogły nikogo obchodzić. Odpowiadałem za błąd rozmyślnie popełniony. Moja słabość zawiniła tu więcej niż przewrotność innych. Ale śmiałeś tknąć się tego dziecięcia. Śmiałeś ją uczynić nieszczęśliwą! Tę istotę czystą, niewinną! Za to... zginiesz! Oh! jestem tego pewny! Bóg bywa czasem sprawiedliwy! Słuchaj i pamiętaj, że musisz mi być posłusznym. Pójdziesz do klubu, moi sekundanci stawią się tam najdalej za godzinę. Wymyśl jaki chcesz powód naszego spotkania. Bijemy się jutro w południe. A teraz.... precz!

W głosie pana de Morère czuć było energię i wolę niezłomną. Maksymilian osłupiał. Widywał dotąd uczonego, zamkniętego w ponurem milczeniu, na pozór apatycznego, obojętnego na wszystko flegmatyka. I on patrzał teraz zdumiony na lwa przebudzenie, jak niegdyś oczom swoim nie wierzyła Diana, będąc świadkiem mimowolnym sceny z jej matką po owym balu, gdy intercyzę ślubną podpisywano. Co do margrabiego, ten odzyskiwał powoli przytomność utraconą. Bić się z panem de Morère?! To tyle by znaczyło, co kazać prawdę całą roztrąbić na czterech rogach Paryża! Wybełkotał zatem:

— Ależ ja z panem bić się nie mogę!... nie mogę!

— Nie możesz! tchórzu podły! — przyskoczył do niego pan de Morère z pięścią zaciśniętą.

Potrafił się jednak powstrzymać i rzekł spokojnie:

— Bić się będziesz! bo inaczej zgniotę cię i zelżę wobec świata całego, jak się depce podłą żmiję!.... Ruszaj ztąd póki zdołam nad sobą panować!...

Margrabia nie mógł otrząsnąć się z wrażenia piorunującego, którego doświadczył zoczywszy wchodzącego pana de Morère. Gdy wyszedłszy z budoaru, zdołał myśli cokolwiek uporządkować, stanęła mu jasno przed oczyma straszliwa rzeczywistość. Skandal był nieuniknionym. Przypominał sobie tego męża tak cierpliwego, z którego przez lat tyle drwił w najlepsze, a który nagle objawiał mu się w całej grozie tragicznej. Co świat powie usłyszawszy o pojedynku tych dwóch ludzi? Oto wszystko, czem był zajęty umysł Paryżanina sceptyka. Nie pomyślał, iż on, margrabia de Tandray zniósł obelgi najsroższe, nie śmiejąc odezwać się jednem słowem, nie! On tem tylko był zajęty: co świat powie? Zanadto długo obracał się w tym światku, aby nie wiedzieć naprzód, że opinia jego potępi bez miłosierdzia. Juześmy powiedzieli, że każdy przeciętny Paryżanin spieszy się gorączkowo. Nie ma czasu nad niczem długo się zastanawiać i zadawalnia się sądem pobieżnym. Znali wszyscy stosunek Fabiana z Katarzyną. Nagle wyskoczyła jak z procy wiadomość o ślubie margrabiego z Dianą. Ileż to się wtedy nie nażartowano z tego „najpoczciwszego“ pana de Morère. Nastąpił szereg cały wypadków odurzających, nie wytłumaczonych, a zdolnych zwrócić uwagę i zająć umysł ludzi nawet najapatyczniejszych i najmniej ciekawych. Diana rozchorowała się śmiertelnie, mąż tymczasem wyjechał za granicę. Katarzyna uciekła czemprędzej z zamku Vairs i wróciła do Paryża, aby pogrążyć się i oddać całkowicie dewocji. Nakoniec pojedynek między zięciem a ojcem przybranym Diany, który uderzy wszystkich jak grom z jasnego nieba. Fakta zestawiwszy, łatwo z nich prawdę wycisną.

Fabian jednak nie był tchórzem, tylko jak w ogóle ludziom występnym, brakowało mu odwagi moralnej. Stawał nieraz z krwią zimną naprzeciw lufki pistoletu i z gracją salonowca, z uśmiechem na ustach, skrzyżował już z niejednym mordercze żelazo, ale cofał się pełen trwogi przed skandalem hałaśliwym. Dla tego słuchał z głową kornie opuszczoną obelg miotanych przez pana de Morère. Gdzie się zwrócił, sytuacja fatalnie się przedstawiała, a on wszędzie i zawsze grał rolę brudną, nikczemną. Wobec niego pan

de Morère wyglądał niemal na starca. Pojedynek bądź co bądź był nieuniknionym; nie przyjmując takowego, naraziłby się na wszelkie najkrwawsze zniewagi z ręki pana de Morère.

A więc bić się będzie! Świat? Eh! pogadają o tem przez tydzień... przez dwa najdalej i zapomną szczęśliwie. Trzeba tylko zaimponować Paryżowi bezczelnością i zuchwalstwem. Schyl głowę kornie przed opinią, krzykną chórem: „Ukrzyżuj go!“ — Podnieś z dumą czoło miedziane, choćby piętnem zbrodni naznaczone i rzuć śmiało w oczy światu całemu rękawicę, nikt jej nie podniesie; milczkiem, chyłkiem obejdą cię zdaleka i... zamilkną. Z panem de Morère da sobie radę. Czyż taki „gryzipiórko“ bić się nmie. Będzie go oszczędzał ile możności, a tak namacalnie, żeby sekundanci na tem się spostrzegli i po całym świecie roztrąbili. Choćby nawet i drasnął go szpadą pan de Morère, mniejsza o to!

Trzeba najprzód uprzedzić opinię; chciał pierwszy puścić w obieg nowinę niesłychaną ze spokojem człowieka, jak skała niewzruszonego. Raz zdecydowawszy się, jaką mu rolę odegrać wypada, Fabian nie wahał się dłużej. Wszedł po drodze do jakiejś kawiarni i zażądał szklankę limoniady. Czuł jak go coś dusi w gardle i w piersiach. Naprzeciw drzwi stało wielkie źwierciadło. Przejrzał się w niem i przeraził twarzą własną; trupio wyglądał. Wykrzywił usta śmiechem szatańskim. Twarz gładka zmysłowa, przybrała teraz wyraz grozą przejmujący. Machnął ręką z lekceważeniem. Dumnie wyprostowany, bez wstydu, bez wyrzutu sumienia, wchodził za chwilę później do klubu. W pierwszym zaraz salonie przywitano go zapytaniem, które o mało szyków mu nie pomięszało:

— Oh! oh! mój drogi! a tobie co się stało.

Uśmiechnął się i odrzekł, że czuje się znużonym dziś wieczór... nic więcej! Następnie spytał o dwóch znajomych. Byli to „gromadzcy“ sekundanci (jak ich żartobliwie nazywano), zaraz też szmer głuchy rozszedł się po salach klubu: — „Ze Fabcio myśli wyzwać kogoś!“ — Nie prosił świadków o tajemnicę, ci więc rozgadali czem prędzej o co rzecz idzie. Milczenie dokoła zapanowało. Nowinka imponująca. Pojedynek między ojcem a zięciem. To szyk dopiero. Podawano sobie cichutko z ust do ust szczegóły nader ciekawe. Kilka graczów z profesji potrafiło oprzeć się na chwilę ponętom i pokusom partyjki w „Baccarat,“ aby pójść oglądać bohatera tak olbrzymiego skandalu. Stary radca z czasów cesarstwa, którego ani huk armat nie byłby od „whista“ ulubionego oderwał, przybił najniepotrzebniej swojemu partnerowi waleta królem, a króla asem, tak go odurzyło wydarzenie niepospolite.

Do północy wiedział niemal cały Paryż, że pan de Morère bije się na szpady z margrabią de Tandray, jutro w południe gdzieś na wsi. Reporter wielkiej gazety codziennej obecny w klubie, wyleciał jak warjat bez kapelusza na ulicę. Gwałtu! trzeba druk wstrzymać! Nazajutrz skoro się Paryż obudzi, musi znaleźć w łamach gazety na samem czele tłustą nowinkę ozdobioną rozmaitemi pieprznemi dodatkami i dwuznacznemi szczególikami. Co do Fabiana, ten odzyskiwał energię i krew zimną, w miarę jak ją traciło jego najbliższe otoczenie. Sam na sam z własnem sumieniem tracił grunt pod nogami; w obec innych przybierał maskę zuchwałego i na wszystko zdecydowanego, włoskiego *Condottière*. Usiadł do preferansa i grał godzin kilka. Udał się wreszcie na spoczynek do jednego z tych pokoi, które stoją zawsze gotowe aby przyjąć na noc jednego lub kilku nawet członków klubu.

Dobry aktor przejmuje się na serjo rolą, którą ma odegrać i sam wreszcie wierzyć w nią zaczyna. Fabian śmiał się nieledwie, że mógł bodaj na chwilę poddać się takim strachom dziecinnym! Że skandal wybuchnie? A ileż to już Paryż strawił skandalów podobnych! Czyż kto go unikał lub ręki mn nie podał? Świat tym tylko szacunku odmawia, którzy okażą lęk i niepewność; czy na niego zasłużyli? Spał snem „sprawiedliwego“ do dziewiątej rano. Sekundanci zbudzić go musieli.

Pojedynek jak już wspomnieliśmy, miał się odbyć w południe na wsi, w majątku prywatnym. Godzina jazdy powozem. Czas więc nie naglił. Margrabia ze swoimi świadkami zjedli śniadanie najspokojniej i z wszelkim komfortem, jak ludzie ostrzelani i dla których podobne awanturki są chlebem powszednim. Wsiedli do powozu wesoło w futra okutani, gawędząc żartobliwie, z cygarem doskonalem w ustach. Fabian chciał ich przekonać o zupełnej pogodzie swojego umysłu. I powiodło mu się to wyśmienicie! Opowiedział z gryzącym dowcipem kilka tłustych anegdot zakulisowych, co zyskało wszelkie uznanie ze strony jego towarzyszy. Gdy atoli starano się wybadać go co do prawdziwej przyczyny pojedynku, udał że nie rozumie. Powtórzył bajeczkę sztucznie ułożoną, ubolewając i piętnując energicznie niesnaski polityczne, które tak nieraz zapalą umysły, iż potrafią rzucić kość niezgody nawet w koło rodzinne najściślejszemi węzłami dotąd połączone! Świadek nawzajem udał wierzącego naiwnie ukutej bajce i zaczął mówić o czem innem. Nie tracił nadziei, iż prędzej czy później prawdę odkryje. Ani on ani świadek drugi nie wątpili, iż margrabia wyjdzie cało z pojedynku. Nieraz bili się z nim na *fleurety* i wiedzieli, że włada szpadą znakomicie.

Powóz pędził gościńcem który do Vincennes prowadzi. Miejsce spotkania było to wzgórze niewielkie nad brzegiem Sekwany, z klombami drzew tu i owdzie porozrzucanemi, a które obecnie wyciągały ku niebu suche konary zupełnie z liści ogołocone. Ogrodnik miejscowy od rana strugał i zamiatał koło do pojedynku przeznaczone. Świadkowie uznali, iż wszystko w porządku. Przyjechali o pół godziny za wcześnie. Fabian wyszedł na terasę o kilka kroków oddaloną i sparłszy się na żelazną balustradę która terasę otaczała, patrzał na Paryż leżący u nóg jego i lekką mgłą owiany. Stał tak nieruchomy, okutany w futro rysie, nie czując wiatru zimnego i na wskróś przenikającego. Sekundanci wstąpili na chwilę do domku ogrodnika, aby tam ogrzać się cokolwiek. Wpatrywał się w to miasto gdzie urodził się, wyrósł i wychował, gdzie olśniewał jednych a gorszył drugich. Dziwnym zwrotem pojawiającym się niekiedy w sumieniach i najbardziej zakamieniałych; zaczął w duchu żałować, iż życie tak mu krzywo poszło. Bądź jak bądź, był więcej wart niż jego czyny. Pytał sam siebie z trwogą: czy nie wybiła dla niego godzina złowroga, w której każda istota ludzka zdaje ścisły rachunek ze słów, uczynków, myśli nawet najtajniejszych; kiedy musi się płacić nieodwołalnie długi moralne, przez życie całe zaciągnięte. Rozstrój nerwowy nie trwał jednak długo. Sumienie Fabiana nie grzeszyło zbytnią drażliwością i skrupułami.

— Ba! — machnął ręką obojętnie.

W tej chwili dano mu znać że przeciwnik nadjeżdża. Udał się wraz z świadkami na miejsce spotkania. Pierwszym rzutem oka zmierzył pana de Morère. Ojczym Diany był blady ale spokojny. Wzrok jego był zimny, twarz marmurowa wyrażała jedynie surowość i wolę niezłomną. Przykryto szpady wybierając na los szczęścia, wyrzucono w górę monetę, kto gdzie ma stanąć. Wręczono wreszcie broń przeciwnikom, każdemu z nich miejsce wskazano i walka się rozpoczęła.

XIV.

Diana szczerą prawdę pani Rocher powiedziała. Od powrotu swojego z Vairs do Paryża, Katarzyna oddała się dewocji najżarliwszej. Modliła się jak się bawią inni aby się odurzyć.

Jakież to było zajęcie rozkoszne dla istoty tak jak ona małodusznej i zabobonnej! Znajdywała w religji schronienie i lekarstwo na nudy zabijające! Miała czem zapełnić życie puste i monotonne. W jej wieku trudno już marzyć o miłości; można prowadzić dalej dawny stosunek, nie podobna atoli nawiązać nowego. Widziała się bez przyjaciół, bez rodziny... między nią a córką przepaść bezdenną... co do pana de Morère, nie będzie go widywała częściej niż przed tem. Skandalu jawnego uniknie się jednak. Diana będzie wprawdzie żyła w separacji z mężem, ale po cichu, dobrowolnie... wiedzieć o tem nikt nie potrzebuje. Zanadto była pewną Diany, aby mogła przypuścić, iż ta byłaby w stanie zhańbić matkę publicznie. A jakżeby mogła inaczej uzyskać separację sądową?

Była więc samą! samiuteńką! Nie miała innego źródła pociechy, prócz w pobożności przesadzonej, to jest: w owych „pseudo“ miłosiernych uczynkach, z których o wiele więcej korzystają ubodzy fałszywi, niż ci którzyby istotnie na współczucie i pomoc zasługiwali; w owych długich stacjach po różnych kościołach, w oczekiwaniu na upragnionego spowiednika.

Bywają pewne afilacje religijne, w których zchodzą się i spotykają natury najmniej do siebie podobne, na które też najrozmaitsze czynniki oddziałują. Dewotki po największej części, są to kobiety surowych obyczajów, bez zmazy, które zatapiają się w boskich i wzniosłych wiary tajemnicach, szukają tam ulgi dla serca zbolałego i złamanego niejednym w życiu zawodem, niejedną ludzką niewdzięcznością i niegodziwością. Są i takie — a rekrutują się pomiędzy staremi pannami — którym się zdaje, że pojadą prosto do nieba, skoro tyle i tyle pacierzy odklepią bezmyślnie, tyle i tyle mszy codzień odsłuchają, i tyle i tyle dni odposzczą. To są nieznośne i skończone warjatki! Zostają wreszcie podobne do pani de Morère, rzucające się gwałtownie w ramiona Boga z rozpaczy, że ich już żadne ramię męzkie nie chce otoczyć i do serca miłośnie przytulić.

Do tego i zdrowie trochę już w Vairs nadwerężone zaczynało ją serjo niepokoić. Miewała zawroty głowy, mdłości częste, chwilami czuła znowu zimno we wszystkich członkach tak przejmujące, jakby niebawem miała zastygnąć na wieki. Zanadto bała się śmierci aby nie wzywać bezustannie rady lekarskiej. Jej ordynarjusz, człowiek sprytny, przystojny, ubrany zawsze najstaranniej i najmodniej, traktował dość lekko pacjentów, a szczególniej pacjentki.

Doktor Frangin nigdy się zbytnio chorym nie zakłopotał; opowiadał pacjentom najzabawniejsze dykteryjki pukał, macał, egzaminował, wszystko bardzo pobieżnie, kończył zaś frazesem sakramentalnym: — Nerwy!... nic jak nerwy!...

W gruncie był to również sceptyk, który w nic mniej nie wierzył niż w medycynę!

Pospieszył ukołysać trwogę pani de Morère, plotąc brednie, jak się zwykło zabawiać dziecko rozgrymaszone, wreszcie polecił jej proszki musujące i nacierania zimną wodą. Wychodząc powtórzył z najsłodszym uśmiechem:

— Bądź pani zupełnie spokojną!... nerwy te nerwy niegodziwe!... Zaręczam, że tylko nerwy!...

Odszedł zadowolony z siebie i z innych. Uspokojona poradą lekarską, Katarzyna postanowiła rozerwać się trochę. Dopięła celu, zapalając się na nowo dla wielebnego ojca Bremond. Był to zakonnik powierzchowności słodkiej, ujmującej; twarz miał bladą ascety, kazania prawił prześliczne. Nakazywał penitentkom czytanie rozmaitych dzieł napisanych z wielką egzaltacją, na wzór *Glossy* św. Teresy; za pokutę naznaczał rozmaite czynności drobiazgowe, które czas im zapełniały rozkosznie i robiły z nich (w ich własnem przekonaniu naturalnie) niemal święte istoty! Przez cały wielki post nie pozwalał nosić złotych garniturów i sukień jedwabnych; co piątek aby okazać pokorę chrześćjańską, wyręczały gałganiarzy, zbierając po własnym dziedzińcu strzępki papierki, odbywały przytem stacje, klęcząc w długim korytarzu klasztornym. Zwoływał je też dwa razy na tydzień do obszernego parloaru klasztornego na tak zwane „Pogadanki duchowne“.

Rzuciła się do tego nowego rodzaju życia, z tą samą namiętnością z jaką niegdyś biegała na zchadzkę z Fabianem. Katarzyna zresztą jak ogół prawie kobiet światowych i rozpustnych, które wiek nieubłagany zmusza do wyrzeczenia się awantur miłosnych i szukania pociechy w dewocji, nie umiała odłączyć „mężczyzny“ od postaci „duchownego“. Chociaż imponował jej powagą świętych obrzędów, które sprawował dłońmi własnemi, i tą mocą nadprzyrodzoną rozgrzeszania jej ze wszystkich przewinień; ojciec Bremond budził w jej sercu dziwne porywy mistyczne, nieokreślone, dreszcz rozkoszną sprawiające.

Diana bywała u matki raz na tydzień w jej *jour fixe*. Spełniała obowiązek, nic więcej. Świat nie powinien był zauważyć, — iż matka z córką wcale się już nie widują. — Tak samo czyniła Katarzyna. Wizyty czysto ceremonialne, nawet wobec obcych. Mimo chęci obustronnej aby zachować pozory przynajmniej, ani jedna ani druga nie myślała przekroczyć muru z lodu który je rozdzielał. Natomiast uważała pani de Morère ze zdziwieniem, iż zażyłość i stosunek serdeczny między ojczymem a pasierbicą rośnie z dniem każdym. Prześladowano ją tem nawet żartobliwie od czasu do czasu. Istotnie pan de Morère częściej teraz jadał obiad u pasierbicy niż u siebie; i co się dawniej nie wydarzało, bywał z nią nawet w teatrze. Nie mówił jednak nigdy o Dianie z Katarzyną.

W ten sposób miesiące mijały. Razu pewnego pan de Morère wrócił wcześniej do domu niż zazwyczaj. Przechodząc przez salon, zaledwie z żoną słów kilka zamienił tonem obojętnym, i obiad kazał sobie podać do swojego gabinetu. W pół godziny później zjawiło się dwóch panów znajomych, których również do gabinetu wprowadzono. Zdziwiło to Katarzynę. Mąż jej prawie żadnych wizyt nie przyjmował. Słuch wytężywszy, usłyszała tylko szum kilku głosów zmięszanych i żywo rozprawiających. Dominował głos pana de Morère. Słów pochwycić nie mogła i nie bardzo jej o to chodziło. Czytają zapewne jakieś przemądre i wielce nudne sprawozdanie dla „Towarzystwa geograficznego.“

Nazajutrz wrócili ci sami panowie o dziesiątej rano. Uderzyła ją ta okoliczność nadzwyczajna. Za chwilę stanął kocz poczwórny w bramie i pan de Morère odjechał gdzieś ze swoimi dwoma towarzyszami. Katarzyna była jednak nadto lekkomyślną i ograniczoną, aby łamać sobie długo głowę nad tem, czego od razu nie mogła zrozumieć. Był to zresztą dzień „duchownej pogadanki,“ a ojciec Bremond wydawał jej się stokroć więcej interesującym, niż wszystkie czynności „bezbożne“ jej męża. Następnie „Stacje“ odbyła, trzech mszy wysłuchała, odwidziła siostry miłosierne i damy „Serca Jezusowego;“ wstąpiła po drodze do kilku ubogich uprzywilejowanych i dzień cały wypełniła aż do piątej z południa Przed pałacem swoim zastała dwa wielkie wagony do przewożenia mebli, na schodach był ruch nieustający, znoszono meble, kufry i tłumoki. Katarzyna jeszcze nie rozumiała.

— Co to wszystko znaczy? — spytała kamerdynera, pilnującego na pierwszem piętrze tej całej zgrai z powagą jeneralnego dowódcy.

— Taki rozkaz dostałem od jaśnie pana — mruknął krótko, nie wdając się w bliższe tłumaczenie.

— Cóż to znaczy? — powtórzyła machinalnie i zawahawszy się na moment, udała się wprost do gabinetu męża.

Czyżby wyprowadzał się całkiem, nie wspomniawszy przed nią ani jednem słowem?

Gdy weszła, kończył właśnie uporządkowywanie papierów. Cała paka tychże stała już gotowa. Zwoje i pakiety były starannie powiązane i numerami odnośnemi opatrzone. Pokój zresztą był już próżny. W kominku dopalał się stos szpargałów niepotrzebnych, tu i ówdzie na posadzce coś się jeszcze plątało niezapakowane; wkrótce jednak można się było spodziewać, że i to sprzątnie ręka zapobiegliwa. Ujrzawszy żonę wchodzącą, pan de Morère skinął jej zlekka głową, nie przerywając bynajmniej zajęcia. Stanęła na środku obszernej a pustej komnaty niema, przerażona, przeczuwając coś bardzo ważnego.

— Wybierasz się pan w podróż daleką? — bąknęła wreszcie nieśmiało.

— Nie pani.

— Może raczysz mi pan wytłumaczyć w takim razie te dziwne przygotowania, których wcale pojąć nie mogę.

Pan de Morère głowę odwrócił i wpatrzył się w Katarzynę przenikliwie:

— Namyśliłem się, iż lepiej rozłączyć się nam całkowicie. Świat nie dowie się już nic nowego. Od dawna przestał nas za małżonków uważać. To zresztą jest koniecznem przez wzgląd na Dianę. Muszę czuwać nad nią. Sprowadziłem się obok jej pałacu. Potrzebuje opieki samą zostawszy. Nim zajdzie nowa w jej życiu odmiana, jestem jej naturalnym opiekunem i obrońcą.

Katarzyna czuła zagadkę w tych słowach, dotąd jednak klucza do niej nie miała. Zaczęła przypatrywać się uważniej mówiącemu. Pan de Morère był bledszym niż zazwyczaj, w oczach migotał blask gorączkowy, rysy miały wyraz zimny i nieubłagany. Katarzyna zadrżała. Chciała jednak wiedzieć wszystko za jaką bądź cenę, przemówiła więc znowu po chwili głosem niepewnym:

— Diana... samą nie jest przecie...

— Przeciwnie, jest obecnie zupełnie osamotnioną.

— Mąż wróci... nieporozumienie chwilowe między nimi trwać wiecznie nie może.

Pan de Morère zmierzył ją powtórnie wzrokiem jak ostrze stali przenikającym. Spuściła oczy strwożona śmiertelnie. A jednak dotąd nic nie wiedziała ani o powrocie margrabiego, ani o nowym dramacie odegranym wczoraj o tym samym czasie na ulicy Messine. Mówił powoli, oka z niej nie spuszczając.

— Margrabia de Tandray nie wróci już nigdy... nie żyje...

— Nie żyje?!

— Zabiłem go w pojedynku... dziś rano....

Krzyk straszliwy wyrwał się z piersi Katarzyny. cofała się ku drzwiom z wyciągniętemi naprzód ramionami, z szeroko rozwartą źrenicą, pytając sama siebie, czy to nie sen ciężki? czy nie jest igraszką jakiegoś dziwnego urojenia? Fabian zabity przez jej męża! Stanęła, trzęsąc się jak w febrze, krew falą kipiącą o skronie uderzyła, coś ją w sercu zabolało, myśli mąciły się w głowie. Znowu głucho szepnęła: — Nie żyje!... Nie żyje!... i dłonią tarła czoło, jakby chciała ból spędzić lub odzyskać przytomność utraconą. I stała tak dalej zidjociała, milcząca, nieruchoma.

Pan de Morère o krok naprzód się posunął:

— Nie oskarżysz mnie pani o brak cierpliwości. Czekałem lat piętnaście, aby go zabić. Przeklętym niech będzie dzień, w którym pozwoliłem na ślub jego z córką twoją! Myślałem, że kocha go biedne dziecię, to moja jedyna wymówka! Muszę ją zczęsta powtarzać, aby nie zwątpić o sobie samym! Byłem gotów przebaczyć wszystko temu człowiekowi, gdyby był chociaż Dianę uszczęśliwił!

Katarzyna zdawała się nic nie słyszeć. Usta jej drżące i zbladłe powtarzały bezwiednie głosem cichym i złamanym:

— Zginął!... nie żyje!...

— Widać, że do wieku późnego zachowuje się śmieszne ułudy. Sądziłem, iż nawet takie nędzne jak wy istoty, nie byłyby w stanie przekroczyć pewnych granic... Omyliłem się najfatalniej, stary głupiec! Im potworniejszą była zbrodnia popełniana, tem dla was dwojga nikczemników stawała się ponętniejszą. O! nie lękaj się pani. Mówiłem ci już dawniej, że nie mam nawet siły nienawidzieć, taki wstręt wzbudzasz we mnie. Powtarzam ci to raz jeszcze i uważam cię za istotę chorą, za warjatkę, od której każdy się usuwa. Więc też i ja odchodzę. A teraz żegnam panią. Więcej nie mam jej nic do powiedzenia.

Spokój uroczysty i niezachwiany w jej mężu przerażał ją więcej, niż wybuch wściekłości, w którym łamie się i niszczy, co tylko w ręce wpadnie. Mąż wiedział o wszystkiem. Wiedział o nawiązanym nanowo stosunku bezwstydnym między nimi i tę zbrodnię Fabian życiem przypłacił. Słowa nie odrzekła. Siły tak fizyczne, jak moralne były w niej wyczerpane. Myśli chaotycznie po mózgu wirowały. Gdy dowlekła się do swojego pokoju, uczuła straszliwe znużenie. Zdało jej się, iż jest gdzieś daleko, daleko! od Paryża, od całego świata! w jakiejś pustyni posępnej, bezludnej. Nikogo w około niej... nikogo!.. Wróciły z większą jeszcze siłą mdłości, zawroty głowy... zresztą teraz już nawet bolu w sercu i żalu nie czuła. Śmierć Fabiana sprawiała jej tylko rozstrój nerwowy, jak u takich chorych, którzy czucie tracą. Serce jej było jakby sparaliżowane.

Noc zapadła w około niej a w jej sercu i umyśle też coraz ciemniej się robiło. Zimno śmiertelne do szpiku i kości ją mroziło. Kazała rozpalić suty ogień na kominku i siedziała w płomień zapatrzona, piekąc niemal twarz, ręce i nogi przy ognisku, a nie rozgrzawszy dotąd krwi w żyłach lodem ściętej. Przed oczami jej duszy przesuwały się tłumem całym wspomnienia z ubie-

głej przeszłości. Widziała się młodem dziewczęciem u ciotki w Marsylji. Widziała następnie męża pierwszego, tego męża, którego śmierć tajemnicza była dotąd zagadką dla wszystkich, potem szedł długi szereg kochanków za jej wdowieństwa, postaci mglistych przez czas w pamięci na pół zatartych. Serce jej, był to hotel najpospolitszy. Czy goście bawią w nim dłużej, czy krócicj, zawsze zaledwie ślad po nich słaby zostanie w pamięci gospodarza. Stanęło jej wreszcie drugie małżeństwo i dalszy ciąg jej życia rozpustnego... aż do dnia, w którym poznała margrabiego. Oh! jak ona tego jednego wiernie kochała. Przypominała sobie szczegóły najdrobniejsze od pierwszej chwili aż do ostatniej, ich miłości. I ten człowiek nie żyje! nie żyje! Te usta, których każde dotknięcie do szału ją rozpłomieniało, zastygły na wieki pod lodowatym śmierci pocałunkiem! Zadzwoniła, aby jej światło podano. Krzyknęła przeraźliwie, gdy lampę wniosła pokojowa, tak ją w oczach od jej blasku zapiekło. Teraz z zimna przeszła do gorączki. Kazała się rozebrać i do łóżka zaprowadzić. Gdy upadła na poduszki, wzmogło się jeszcze cierpienie moralne. Wpatrywała się machinalnie to w ognisko dogasające, to w drżące lampki nocnej światełko i znowu uczuła w myślach dziwny nieład, a jej mózg i tak niezbyt mocny, zaczął na dobre majaczyć. Wyobraziła sobie, iż cienie dawnych kochanków zbliżają się do niej po kolei, nachylają się nad jej łożem, miotając przekleństwa. Ogarniał ją lęk śmiertelny, pot kroplisty a zimny na czoło występował. I te cienie mówiły do niej, opasywały ramieniem szkieletu, przyciskały usta lodowate do jej ust gorączką spalonych.

— Oddaj sny złote, któreś mi ukradła — mówił jeden — moją wiarę w piękno i dobro, moje porywy wzniosłe, idealne!

— Zanim cię poznałem — wykrzywiała się do niej twarz druga, szpetna i poczerniała — byłem młody, szczery i kochający. Zostawiłaś mnie z sercem zastygłem, z sumieniem wydanem na łup wiecznych wyrzutów!

— Zwróć mi siły wydarte przez twoje przeklęte pocałunki upiorze bezecny! — zgrzytał trzeci nad nią pochylony — oddaj mi czułość moich najbliższych, którzy przez ciebie ze wstrętem odemnie się odwrócili. Jak „Samum“ ognisty powiałaś przez życie moje i w dziką pustynię je zamieniłaś! Przekleństwo ci! przekleństwo!

Nieszczęśliwa doświadczała tak nazwanych w medycynie „halucynacji duchowych.“ Od czasu do czasu niby w letarg zapadała; to znowu oczy otworzywszy szeroko, śniła w ten sposób.... na jawie. Fabian ukazał jej się ostatni i to pod postacią dwojaką. To piękny, strojny, pełen życia; to znowu blady, chudy jak szkielet i już pleśnią grobu okryty. Tym razem zjawisko było tak straszliwe, iż drżąca, przerażona, ukryła głowę w poduszki, aby uciec przed tym widokiem. Upiór jednak przysuwał się coraz bliżej i bliżej.... z owym uśmiechem lodowato zimnym i szyderskim w którym nic już niema ludzkiego. Katarzynie krew ścięła się w żyłach, drzenie nerwowe ją opanowało; zęby dzwoniły bez ustanku. Wtedy nie było to już majaczenie chorobliwe; ale *delirium* straszliwe, bezustanne, w którem mieszały się chaotycznie myśli i pojęcia najróżnorodniejsze. Nad ranem dopiero, gdy Paryż budzić się zaczynał, ona zasnęła twardo, gorączkowo, snem, który nerwy gorzej rozstraja, zamiast je uspokajać. Tak przebyła dzień i noc następną. Dnia trzeciego dopiero, pokojowa sprowadziła doktora Frangin na własną odpowiedzialność. Ten znowu potrząsł głową, uśmiechnął się słodziutko i wypowiedział swoje nieśmiertelne. — To nerwy droga pani! Tylko nerwy!...

Katarzyna pokutę zaczynała. Miała tak zostać na resztę życia; skazana na długie godziny, samotne; bez jednego serca czulszego i przychylnego, bez przyjaciół, bez rodziny!

Dla istot cierpiących moralnie niemasz kary straszniejszej, nad takie zupełnie opuszczenie, takie rzucenie na pastwę, rękom i staraniom płatnych wrogów naszych, którymi są sługi po większej części.

XV.

Na wieść o śmierci margrabiego, Paryż przeraził się zrazu. Nie mogli oswoić się z myślą, żeby pan de Morère nie miał być mężem, na wszystko przez palce patrzącym. Wszak związki tak przedawnione, są nietykalnymi, niby wielki *Lama*! Gdzieżby świat zaszedł na Boga! gdyby mężowie, jeszcze po latach piętnastu szukali krwawej zemsty na żony kochankach! Czegoż można by już być pewnym? Jeżeli blisko cztery Olipiady niemiałyby uprawnić związków nielegalnych, przyszłoby zwątpić o wszystkiem! Ma się rozumieć iż o tej całej awanturze, obiegały pogłoski i komentarze najdziksze.

Paryż ma nader bujną fantazję i z muchy, do dwudziestu czterech godzin, gotów zawsze zrobić wielbłąda. Piętrzyły się więc bajki, plotki i opowiadania, niby kry lodu, wichrem gwałtownym pędzone a nagle w jednem miejscu zaporą nieprzełamaną zatrzymane. Każdy i każda opowiadał pod sekretem co innego. Jedną wersją rzetelną był protokół spisany i podpisany przez czterech świadków. Był on krótki, ale jakiej grozy tragicznej! Przeciwnicy składali się trzema nawrotami; za trzecim razem, margrabia de Tandray padł z sercem szpadą przeszytem. Wszystko zresztą odbyło się w porządku i podług najsurowszych praw honoru.

Zanim wrócił do siebie; aby wydać rozkazy, co do przeprowadzenia rzeczy jego do nowego pomieszkania, pan de Morère wstąpił na ulicę Messine. Tu bez długich wstępów nie obwijając prawdy w bawełnę, opowiedział przebieg sprawy Dianie. Istoty szczere i z gruntu dobre, bywają naiwnemi w wylewie uczuć swoich. Diana i Maksymiljan, zamiast ucieszyć się wypadkiem nadspodziewanym, który im wracał wolność tak upragnioną, zaczęli niemal opłakiwać zrazu nieboszczyka. Ochłonąwszy dopiero z wrażenia pierwszego, oddali się radości najżywszej. Wolni! wolni! za rok będą mogli złączyć się w dzień biały wszem wobec! nie lękając się ludzkiej złości i ludzkich języków obosiecznych. Cała ta zresztą trójca ludzi zacnych okazała, jak nie potrzebują obawiać się nikogo; Pan de Morère porzuceniem żony natychmiastowem, Diana i Maksymiljan widując się codziennie jak przedtem. Na szczęście pod pokrywką lekkomyślności świat paryski posiada w gruncie pewne poczucie honoru, którego nic nie wykorzeni. Nie znano prawdziwego powodu pojedynku, a jednak pan de Morère zyskał uznanie ogółu i nikt palca na niego nie śmiał zakrzywić. Przyszłe małżeństwo dwojga młodych ludzi nie było ogłoszone oficjalnie, a nikt nie wątpił, że pobiorą się, skoro wyjdzie rok żałoby.

I tak żyli dalej cicho, spokojnie, opromieniając sobie życie nadzieją szczęścia w całej pełni. Margrabina mało się w świecie pokazywała i któżby mógł się temu dziwić? Maksymiljan za to spędzał z nią wszystkie wieczory. Pan de Morère odchodził zwykle o dziesiątej, rozumiejąc, iż są pewne słowa, które można tylko wyszeptać w słodkiem „sam na sam,“ z ust do ust, z serca do serca. Wtedy siadali obok siebie na małej kozetce i prowadzili codziennie ową rozmowę nieokreśloną, nie objętą właściwie żadnym ludzkim językiem, którą, aby pojąć i ocenić, trzeba kochać i być kochanym.

— Skończyły się więc nasze troski i cierpienia! — szeptał Maks, ściskając w dłoniach jej rączki malutkie. — Nikt i nic nas nie rozłączy, osiągniemy szczęście najwyższe!

— Ktoby to był myślał! — uśmiechała się słodko Diana, — iż wszyttko tak szczęśliwy obrót weźmie i miłość naszą wkrótce sam Bóg pobłogosławi i uświęci! Jakież długie życie przed nami, pełne zachwytów i rozkoszy nadziemskich.

W ten sposdb rozmawiali w wieczór. Był to nienstający „duet“ miłości. Diana żyła tylko myślą o narzeczonym, lub jego widokiem. Skoro go z oczu traciła, o nim mówić zaczynała bądź z ojczymem, bądź z Gemmą, która dotąd jej nie opuściła, zachwycając Dianę i zyskując jej serce coraz więcej opowiadaniami naiwnemi, w których Maks, ma się rozumieć, grał zawsze rolę bohatera, niemal „pół-boga z Olimpu“ starożytnego.... Zczęsta plany na przyszłość układali. Po ślubie wyjadą na zimę do Neapolu lub do Palermo, a może nawet do Afryki. Dla czegoż miałby zaniechać podróży, które już tyle sławy mu zjednały? Pojedzie z nim, jak daleko będzie mogła; i będzie na powrót czekała w Algierji, lub gdzie indziej. Na lato schronią się do zamku w Vairs, gdzie najprzód się pokochali. Dzień za dniem upływał im w słodkich marzeniach o błogiej przyszłości.

Rzecz dziwna! ich porywy, dawniej tak bardzo namiętne, teraz zupełnie się uspokoiły. Bo byli pewni, że wkrótce połączą się na zawsze. Żadna przeszkoda nie stanie im na drodze; nic szczęścia ich zniszczyć nie potrafi. Chcieli aby ich miłość miała lilji czystość niepokalaną, póki nie połączą się ślubem, póki rąk im stuła poświęcana nie zwiąże. Dziś wprawdzie nic ich nie krępowało; wiedział, że byłaby posłuszną na jego skinienie. Tylko zimne kokietki wyzywają miłość aby próbować siły demonicznej, na łatwowiernych i niedoświadczonych. Kobiety z sercem, nawet bez temperamentu; nawet takie, które nigdy same nie doświadczają żądz namiętnych, czują się szczęśliwe, szczęściem udzielonem kochającemu, i nawzajem przez nich ukochanemu. On jednak nie żądał niczego. Czyż nie byli narzeczonymi? Po cóż kosztować ukradkiem rozkoszy; które wkrótce staną przed nimi otworem?

Kodeks zresztą przyzwoitości światowych; wiele im jeszcze przeszkód stawiał, a Maks chciał je wszystkie uszanować, w przyszłej kapłance jego ogniska domowego, w przyszłej matce jego dzieci. U niej musieliby się wystrzegać, oczów i uszów, wiecznie na straży, lokai i pokojówek. Wstrętną mu była myśl sama, żeby oni tak czyści, tak dumni, mieli zależeć od podłej zgrai służebnej! U niego, obecność dziadka nakazywała jeszcze większą ostrożność i wstrzemięźliwość.

Zostawała im więc jedna tylko droga, na której łączyć się zwykli ukradkiem, kochankowie, których zresztą wszystko rozdziela. Apartamencik najęty i umeblowany gdzieś na ustroniu, do którego przychodziliby pokryjomo, każde z nich osobno i z innej strony. Jak to? Mieliby rozsiewać w ten sposób kwiaty miłości, po nędznych stancyjkach? Dianę miałby tak samo widywać jak widywał panią Rocher? Dianę? żonę przyszłą, swój ideał wcielony?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ogłoszenia drobne mogą być z adresem lub bez niego i tylko dzień po dniu podawane. Wszelkich informacyj dostarcza bezpłatnie Administracja ulica Akademicka l. 3, od 8 do 12 godz. rano.

Drobne Ogłoszenia

Cena jednego ogłoszenia do 6 wierszy 20 ct.

Listy znaczone literami lub cyframi przyjmują się i wydają za okazaniem biletu inseratowego. Na żądanie Inseraty układu Administracja.

Doniesienia rozmaite.

Gruntownie, szybko, bez przerwy zatrudnienia i pod ścisłą dyskrecją leczy choroby syflilistyczne i skórne, tudzież wszelkie następstwa nadużyć lat młodszych. Specjalista do chorób syflistycznych i skórnych pr. lekarz Medyc. Chirurg i Akuszer **Jan Kurpiel** przy ulicy Wałowej l. 3. Ordynuje od godziny pół do 10, do 12 przed południem; od 2 do pół do 6 po południu. Zamiejscowym udziela rady listownie i wysyła lekarstwa. (1620)

Des demoiselles françaises qui se trouveraient sans place-peuvennttrouver le logement et la table cher Marie Bruchon, rue Skarbkowska. 37 Léopol. (629)

Na cytrze. na fortepianie i spiewu udziela nauk E. Kalinowski (Łyczaków liczba 7). Fortepiany, pianina, cytry i przybory poleca najtaniej i na raty. Ograne instrumenta pożycza, kupuje i mienia na nowe. Jego utwory na cytrę w księgarniach do nabycia. [700)

Nauczycielka posiadająca patent nauczycielski, muzykę i język francuski, któraby się podjęła dwie dziewczynki od 6 klasy począwszy aż do ukończenia nauk, a chłopczyka od I aż do 4 normalnej klasy prowadzić i półroczne egzamina z niemi zdawać, znajdzie natychmiastowe korzystne umieszczenie w domu obywatelskim, 10 minut jazdy od Lwowa oddalonym. Zgłoszenia przyjmuje Adm. „Kurjera" pod lit. (K).

Towarzystwo spożywcze we Lwowie, pl. Dominikański l. 1 poszukuje kasyerki do głównego sklepu, w piśmie i rachunkowości biegłej. Wymaga się kaucji 600 zł. gotówką. Zgłoszenia pisemne przyjmuje Dyrekcja.

Poszukuje się na wieś nauczycielki do dwu panienek, któraby mogła udzielać przedmiotów szkolnych i posiadała gruntownie naukę gry na fortepianie; żądany byłby i język francuski — elewki w przedmiotach są do 4. klasy kwalifikowane i posiadają nie złe początki muzyki. Zgłoszenia poparte odpisami świadectw nadesłać należy pod Adresą: A. W. w S. post. rest. Sambor.[818

Posady i zatrudnienia.

Do kantoru służbowego ul. Karola Ludwika l. 5 poszukuje się agenta obznajomionego z miejscowością we Lwowie.

Skarb Kutkorz poszukuje samoistnego leśniczego żonatego, z dobremi świadectwami kilkunastoletniej służby w większym majątku. Odpis świadectw można nadesłać do Zarządu. poczta Kutkorz. [822]

Szukający zajęcia.

Pasiecznik postępowy poszukuje posady przy większej pasiece dzierżonów, lub może takową zaprowadzić. Łaskawe zgłoszenia w Busku — Pawelski. [826)

Ekspedytor pocztowy i telegrafista poszukuje od 1 Września umieszczenia Oferty uprasza „Administrato"r Szczurowiec koło Brodów.

Kupno i sprzedaż.

Kasy ogniotrwałe z amerykańskiemi zamkami i zasuwami (Pasquillriegel) eleganckо i wybornie wykonane, takie, jaką dostarczyłem dla Magistratu lwowskiego, sprzedaję najtaniej. Simon Degen (624) ul. Wałowa l. 19.

Do sprzedania 3 siodła damskie używane, w dobrym stanie. Wiadomość u Odźwiernego Pawła, ul. Ossolińskich l. 10. (813)

Dwie dorożki są z wolnej ręki do sprzedania. Bliższa wiadomość w Zamarstynowie pod l. 122 obok rogatki. [826]

Realność składająca się z 2 domów parterowych w otwartem i zdrowem miejscu położona, z placem pod budowę, z dużym ogrodem z wszelkiemi wygodami gospodarskiemi za cenę 7.500 złr. jest zaraz do sprzedania, dochód brutto 750 zł. Wiadom. u właści na miejscu, ul. Piekarska liczba 61. [348[

Portal sklepowy o dwóch oknach i drzwi, w dobrym stanie z szybami lustrowemi większych rozmiarów tanio do nabycia. — Wiadomość w magazynie fryzyjerskim Ignacego Jahla w hotelu Langa pl. Marjacki. (884]

Mieszkania i sklepy.

1 sklep od placu Trybunalskiego l. 3 dawniej dom Andriolego jest zaraz do wynajęcia. Bliższa wiadomość na 2 piątrze od Rynku l. 29. [805[

3 pokoje przedpokój, nyża etc. na I piętrze ul. Kurnicka l. 3 do wynajęcia od 1 września. Wiadomości udziela dozorca domu tamże. (792)

3 pokoje z kuchnią strychem i piwnicą ulica Łyczakowska l. 64. (800)

4 lub 5 **pokoi** przy ul. Brygickiej l. 1. zaraz do wynajęcia. Wiadomość w parterze, (821)

5 pokoi z balkonem, kuchnia strych i piwnica, na 1 piętrze od frontu przy ulicy Teatralnej l. 12 dawniej dom Andriolego są do wynajęcia. Bliższa wiadomość na II. piętrze od Rynku l. 29. [806]

5 pokoi z kuchnią na I. piętrze ulica Trybunalska l. 6 do wynajęcia. Bliższa wiadomość w handlu porcelany Kaźmierza Lewickiego. [802]

8 pokoi na 1 piętrze z balkonem, i przynależnościami, które można podzielić na 2 mieszkania przy ul. Kraszewskiego l. 23. z widokiem na ogród Jezuicki do wynajęcia. [823]

Elegancko umeblowane mieszkanie w ogrodzie o 6 pokojach które się da podzielić na pojedyncze pokoje, miesięcznie lub tygodniowo do wynajęcia dogodne dla przejeżdżających lub zamieszkałych dla swieżego powietrza; Majerowska Nr. 7. (799)

Elegancko umeblowany, wielki salon do wynajęcia, w domu pod l. 10 I piętro, pl. Halicki. Bliższa wiad. w miejscu. (812)

W gmachu c. k. uprzyw. galic. akcyjnego Banku hipotecznego pod Nr. 15. plac Maryacki są do wynajęcia zaraz na 2. piętrze 4. pokoje, kuchnia, strych, piwnica. Bliższa wiadomość udzieli Sekretarjat Banku. (787)

Przy ul. Kurkowej l. 9 w willi znajdują się w parterze 6 lub 5 pokoi z przynależnościami do najęcia. (661)

Do wynajęcia.

W domu Karola Wernera spadkobierców przy ulicy Czarneckiego l, 12 obok gmachu c. k. Namiestnictwa zaraz, w oficynach na I piętrze 3 pokoje, 2 alkowy, kuchnia, strych i piwnica od 1 sierpnia. [597]

Do wynajęcia! W gmachu Banku kredytowego ulica Jagielońska l. 3. są do wynajęcia 3 sklepy w parterze tudzież pomieszkanie zajmujące całe 2 piętro a składające się z 12 pokoi salonu, kuchni, piwnicy i strychu, które w danym razie rozdzielone być może. Bliższa wiadomość tamże na 1 piętrze. [819]

Do wynajęcia od 1 września 5 lub 6 pokoi, kuchnia, jeden pokój dla służby etc. na I piętrze przy ul, Kurnickiej l. 5a. Wiad. udziela dozorca domu przy ul. Kurnickiej l. 3. [781]

Wydawca: **Wojciech Maniecki.**
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: **Rewakowicz Henryk.**
Drukarnia „Kurjera Lwowskiego".